Drobne występki w czasach obfitości

Matthew Kneale

Premiera: 23 listopada 2015

Wydawnictwo Wiatr od Morza

{ fragment 2 }

Słońce

Niektóre włoskie dni są natarczywie urokliwe, niemal jakby zostały wyreżyserowane z rozmysłem. Tej niedzieli w Urbino Malcolma i Melindę obudził dźwięk kościelnych dzwonów. Na śniadanie zjedli jeszcze ciepłe cornetti prosto z piekarni. Jak zwykle zapłaciła Melinda. Później pojechali na puste wzgórza na północny zachód od miasta, oboje pokrzepieni słońcem późnego marca, choć każde z nich zareagowało na nie w inny sposób – Malcolm był pogodnie sardoniczny i tryskał wisielczym humorem, żartując sobie na temat miejscowych kierowców, jakby nie chciał ulec bez walki; Melinda natomiast skwapliwie poddała się dobremu nastrojowi i szeroko otwierała oczy, urzeczona romantycznymi chwilami.

– Spójrz na tę wieżyczkę w ruinie, tam na górze. Jest przeee-ślicz-na!

Mieli tego dnia tylko jedno zadanie: odwiedzić klasztor słynący z produkowanych w nim likierów, sunęli więc nieśpiesznie wijącymi się bez końca drogami. Czysty przypadek sprawił, że wjeżdżając do miasteczka San Bernardino, ujrzeli samochody ścigające się, by zaparkować przed największą restauracją.

– Może spróbujemy? – spytał Malcolm, niezobowiązująco celując w ostatnie wolne miejsce.

– Rosetta – odczytała Melinda. – Jaka piękna nazwa. Tak, zajdźmy tam.

Dla żartu zamówili danie, które według ich słownika nazywało się „ravioli z pokrzywą" – okazało się, że było naprawdę pyszne. Przy drugim kęsie zapiekanki z koźlęcia Malcolm miał już gotowy werdykt: – O tej na pewno będzie trzeba wspomnieć. W zasadzie wydaje mi się, że to jak na razie nasz najlepszy posiłek.

Melinda przymknęła oczy w zachwycie. – Bez wątpienia.

Malcolm był zadowolony z siebie na sposób, który nieczęsto mu się zdarzał, a gdy dostali rachunek, rozparł się na krześle i niemal mimochodem napomknął kelnerowi, że pisze artykuł podróżniczy i zamierza pochwalić w nim restaurację. To był piękny moment. Kelner, gdy udało mu się już rozszyfrować dziwną mieszankę angielskiego i włoskiego używaną przez Malcolma, zareagował z serdecznym entuzjazmem – *Scrittore*? *Vero*? – i zawołał kucharza oraz kasjerkę, by podzielić się z nimi podniecającą wiadomością. Nawet Melinda odegrała swoją rolę, posyłając Malcolmowi pełne podziwu spojrzenia. Na koniec dostali deser i grappę na koszt firmy.

– Ciekawe, czy jest w tym miasteczku coś wartego zobaczenia? – rzucił Malcolm, wychodząc na ulicę z ważną miną. Okazało się, że nie ma nic, a przynajmniej nic, co pasowałoby do jego artykułu – tekstu dla podlondyńskiej gazety zatytułowanego *Marche: Toskania bez turystów* – a jednak, pomimo poobiedniego znużenia, oboje byli oczarowani. San Bernardino mogłoby posłużyć za miejsce akcji włoskiego filmu: w maleńkim parku grupka staruszków grających w domino; na ulicy dwie kontrolujące parkowanie kobiety – czy naprawdę były bliźniaczkami? – z długimi,

www.facebook.com/wiatrodmorza

czarnymi kędziorami wystającymi spod czapek; na placu koncert amatorskiego zespołu jazzowego. Zanim wyruszyli w dalszą drogę, bez pośpiechu wypili jeszcze kawę.

Pod tamten dom trafili przez zbieg okoliczności, szczęśliwy bądź pechowy, zależnie, jak na to spojrzeć. Malcolm co prawda kupił najbardziej szczegółową z dostępnych map, lecz i tak w terenie zdawało się być za dużo dróg, więc niebawem pobłądzili. Nie zmartwiło ich to specjalnie, bo widok zapierał dech w piersiach – kolejne szeregi obłych wzgórz słały się jedne na drugich, zamazując się stopniowo w błękitnej dali.

– Tam widać słońce, więc na pewno jedziemy na zachód – ocenił Malcolm, gdy zatrzymali się pod rozłożystym drzewem.

Melinda zmrużyła oczy i przyjrzała się drewnianej tabliczce, wbitej kilka kroków dalej. – Czy to nie znaczy „na sprzedaż"?

Strzałka wskazywała nie budynek, lecz gruntową drogę. Po zakończonym sukcesem lunchu Malcolm miał apetyt na spontaniczne działanie, cisnął więc mapę na tylne siedzenie. – Czemu nie mielibyśmy rzucić okiem?

Normalnie zraziłby Melindę, okazując taką stanowczość, tego dnia było jednak inaczej. – Dlaczego nie?

Dwieście metrów dalej zaparkowali przy kwadratowym domu, spod którego rozciągał się tak samo piękny widok jak z drogi.

– Hmm – mruknął Malcolm, wysiadając z samochodu.

– Niesamowite – przyznała Melinda.

Przez jakiś czas kręcili się w podnieceniu przy budynku, to próbując zajrzeć do środka przez zamknięte okiennice – bez powodzenia – to na nowo zachwycając się widokiem.

– Czyż nie jest fantastyczny?

– Naprawdę fantastyczny.

Na pierwszy rzut oka ich reakcje wydawały się łudząco podobne, były to jednak tylko pozory. Zapał Melindy był stosunkowo prostolinijny, marzycielsko zachłanny; już wyobrażała sobie, jak leży na trawie pośród wiosennych kwiatów – jako ich właścicielka – lub jak przygotowuje zapiekankę z koźlęcia i przelewa wonną potrawę do dużego miedzianego kociołka, obserwowana

przez wianuszek wdzięcznych gości: przyjaciół z Londynu i córkę z wcześniejszego małżeństwa z Rickiem. Entuzjazm Malcolma był natomiast nasycony ambicją. Może to przez schlebiające mu pogawędki po lunchu, które chwilowo napełniły go pewnością siebie, a może przez to, że był tak daleko od swojego angielskiego życia – w każdym razie, gdy tylko wysiadł z samochodu i zerknął na dom, stało się z nim coś dziwnego. W jednej chwili spłynęła na niego wizja książki, którą mógłby napisać; niemal ją zobaczył, podsuniętą pod nos jak koło ratunkowe. Idea była nieskomplikowana i bezczelna zarazem – byłby to opis przygód przeżytych przez niego i Melindę w tym miejscu podczas renowacji domu (który bez wątpienia wymagał nieco pracy). Z takich pomysłów nieraz szybko ulatuje powietrze, lecz chodząc wokół domu, wdychając woń trawy czy postukując w połać kruchego tynku, Malcolm czuł narastające podekscytowanie. Zapomni o powieści, przynajmniej na razie. Styl nowej książki ukształtował się już w jego myślach tak wyraźnie – widział przecież to wszystko przed godziną w San Bernardino – będzie lekka i obrazowa, opisze miejscowych z sympatią, lecz zarazem zabawi czytelnika ich śmiechu wartymi dziwactwami. Owszem, bywały już wcześniej takie książki, ale co z tego? Jego będzie lepsza, nie miał co do tego cienia wątpliwości. A poza tym niektóre z tamtych tytułów niesamowicie dobrze się sprzedawały. Malcolm był przekonany, że to może być jego klucz do sukcesu.

A potrzebował go tak bardzo, że już sama myśl rozbudziła w nim ponownie to nikłe, lecz bolesne pragnienie. Nie zawsze tak było. Gdy poznali się z Melindą, wierzył w swoje pisarskie talenty – dopiero co przyjęto jego opowiadanie w pewnym czasopiśmie, rozpoczynał pracę nad swoją pierwszą powieścią. W pewnym sensie to właśnie ta jego wiara w siebie nadała ton ich romansowi, nie licząc oczywiście różnicy wieku (on miał trzydzieści jeden lat, ona czterdzieści). I tak, pomimo swojego bogactwa, to Melinda weszła w rolę osoby potrzebującej i niedługo po ich spotkaniu zaczęła nakłaniać Malcolma, by przeprowadził się do jej zadbanego domu w Camden (ani razu nie zdobyła się na odwiedzenie go w jego współdzielonym z innymi mieszkaniu w południowym Londynie).

www.facebook.com/wiatrodmorza

Po zaledwie kilku tygodniach uległ i zrzucił swoją stertę kartonów pod jednym z jej buddyjskich obrazów. Z początku mieszkało mu się tam nieswojo, zwłaszcza gdy córka Melindy wracała z internatu na weekendy lub gdy wpadali do niego przyjaciele czy – co gorsza – rodzice, niepochwalający takiego stylu życia. Szybko się jednak przystosował – do wygód nietrudno się przyzwyczaić. Podobało mu się to, że ma własny gabinet, a Melinda potrafi zostawić go w spokoju, żeby sobie popracował. Czy ją kochał? Zapewne na swój sposób. Lubił z nią być zarówno w dzień, jak i w nocy. A zresztą, nie pragnął wcale niczego innego – wzrok miał utkwiony w swojej karierze, nie w małżeństwie czy dzieciach. Nie próbował odgrywać ojczyma przed córką Melindy – co zapewne wyszło im na dobre – utrzymywali więc zdrowy dystans. Po kilku miesiącach dał Melindzie namówić się na rezygnację z pracy w markecie komputerowym – „Malkie, tracisz tam tyle czasu, który mógłbyś poświęcić na pisanie, a przecież nie potrzebujesz pieniędzy" – i jego zależność stała się pełna. Specjalnie go to nie martwiło. Co to szkodzi, że jest utrzymankiem czy „jej zabawką", jak to kiedyś ujęli rodzice? Czuł, że odzyska godność, gdy tylko skończy pracę nad powieścią.

Niestety, nie doszło do tego. Lata płynęły, a książka wciąż wymykała mu się z rąk. Najbardziej rozwścieczający był fakt, że Malcolm wciąż nie potrafił stwierdzić, czego jej tak właściwie brakuje. Wszystko wyglądało świetnie, kiedy był pogrążony w pracy, gdy jednak tylko spojrzał na powieść z dystansu, rozproszony kilkudniową przerwą lub choćby absorbującym programem w telewizji, całość zdawała się bezwartościowa – bohaterowie, których miał za intrygujących i skomplikowanych, stawali się niemożliwi do rozróżnienia (a zmienianie imion, do czego regularnie się uciekał, nic nie pomagało). Podobnie zwrotom fabuły, które uważał za niezwykle zmyślne, nagle zaczynało brakować jakiegokolwiek elementu zaskoczenia, jakby cała historia miała być najwyżej tłem dla jakichś innych, bardziej doniosłych wydarzeń. Kilkakrotnie próbował odpuścić sobie całe to przedsięwzięcie, zawsze jednak dawał się wciągnąć z powrotem, niczym wóz wpadający w te same

błotniste koleiny, w których ugrzązł już tak wiele razy. Jak mógłby zarzucić pracę nad książką, której poświęcił już tyle czasu? A poza tym, co innego miałby pisać, biorąc pod uwagę, że jakoś nie przychodziły mu do głowy nowe pomysły? Pracował więc dalej, gromadząc pierwsze rozdziały – do drugiego nigdy nie doszedł – wszelkiej maści: jeden zaczynał się od tego, że Lucinda tańczy namiętnie w berlińskim klubie w 1932 roku; kolejny od tego, że nieszczęsny Hermann wydaje ostatnie tchnienie w skrajnym ubóstwie, omiatany lodowatym wiatrem Nowego Jorku w roku 1979; a trzeci od tego, że Leonora (wcześniej Lucinda) w swoim domu w Stepney skrycie roni łzy na wieść, że Gerhardt (Hermann) został uznany przez dowództwo Afrika Korps za zaginionego w boju. Powieść nie tyle się wydłużała, co rozlewała, a kartki zapełnione odręcznymi notkami i wydrukami pierwszych rozdziałów piętrzyły się w gabinecie Malcolma na półkach, w szufladach i na podłodze u jego stóp.

Gdy tygodnie zmieniły się w miesiące, a potem w rok, Malcolm zaczął się obawiać, że Melinda może nim być rozczarowana. Po jakimś czasie jednak z pewnym niepokojem zdał sobie sprawę, że wydaje się całkiem zadowolona z takiego stanu rzeczy i zamiast go łajać, wyszukuje sposoby, by jego porażka stała się łatwiejsza do przełknięcia (a przez to bardziej trwała). Gdy miał szczególnie słaby okres, namówiła go, by pojechał z nią na wczasy do hiszpańskiej Galicji – ma się rozumieć, na jej koszt – i załatwiła mu zlecenie na krótki artykuł podróżniczy od londyńskiego magazynu o rynku nieruchomości, wydawanego przez jedną z jej wielu przyjaciółek. Honorarium było śmieszne, ale Malcolm musiał przyznać, że dobrze mu się pracowało nad tekstem – miło było wreszcie coś skończyć. Potem napisał jeszcze trochę podobnych rzeczy, do tego parę artykułów kulinarnych, lecz nie udało mu się przebić do wyższej ligi płacących porządnie czasopism i niedzielnych gazet. W rezultacie wszystkie jego zamówienia na teksty zależały praktycznie od tego, czy Melinda zechce zabrać go na wczasy, co nie zdarzało się szczególnie często, a nawet w lepszych latach zarabiał tylko ułamek tego, co niegdyś dostawał w sklepie

www.facebook.com/wiatrodmorza

komputerowym. Melinda nigdy go nie prosiła, by dorzucał się do domowych wydatków, i upierała się, że sama zapłaci za wszystko, co robią razem. „To twoje własne pieniądze, Malkie. Wydaj je na coś fajnego". A choć tak było mu łatwiej, jej hojność pogłębiała tylko jego poczucie upokorzenia. Miał wrażenie, że jego zarobki to jakieś kieszonkowe; wykorzystywał je zresztą jak nastolatek – na płyty i nowy komputer, który, jak miał nadzieję, mógł ułatwić mu pracę nad powieścią.

Owszem, próbował się nieraz wyswobodzić. Od czasu do czasu poddawał się nagłym, niewytłumaczalnym wybuchom gniewu, lecz Melinda okazywała znużenie i wyrozumiałość. Parę razy oglądał też mieszkania, ale wydawały mu się takie obskurne i drogie… Czasami przeglądał w gazetach ogłoszenia o pracy, ale ich widok przyprawiał go o nieokreślone poczucie porażki, gnające go zaraz do pracy nad książką („A gdyby to Petra przyłączyła się do trupy mimów, a nie Denise? To byłoby chyba nawet bardziej tragiczne…"). Z upływem czasu zdał sobie sprawę, że równowaga sił między nim a Melindą ulega zmianie. On wyglądał coraz starzej – z pasmami siwizny w rzednących włosach – a inni okazywali coraz mniejsze zdziwienie, widząc, że jest razem z Melindą, zupełnie jakby ją doganiał. Może to dlatego czuł, że ona robi się wobec niego coraz bardziej stanowcza i przywiązuje mniejszą wagę do jego samopoczucia. W końcu jego pragnieniu ucieczki zaczęły towarzyszyć ataki lęku, przychodzące zwłaszcza w środku nocy. A jeśli coś między nimi pójdzie nie tak? Ona przecież była wciąż atrakcyjna, całkiem młodzieńcza i zgrabna jak na swój wiek, a zdarzyło się kilka chwil, gdy zasiała w nim wątpliwości. Dobijał już do czterdziestki i nie miał nawet własnego mieszkania. Gdyby zechciała, mogłaby z dnia na dzień wyrzucić go na bruk. Rozwiązaniem mogłoby być małżeństwo – gdyby przyjęła oświadczyny – ale tego jakoś nigdy poważnie nie brał pod uwagę. Lata płynęły niepostrzeżenie, a on wciąż uważał swoją sytuację za tymczasową. Aż do tamtego popołudnia, gdy stanął przed domem na wzgórzach ponad San Bernardino, nagle wypełniony pewnością siebie. Jak wspaniale byłoby napisać ogromny bestseller, po który

ludzie waliliby do księgarń drzwiami i oknami – być człowiekiem ważnym, potrzebnym i bogatym. Czuć się bezpiecznym. Ma się rozumieć, że aby to wszystko mogło się ziścić, Melinda musiałaby najpierw kupić dom. Jedną z niepisanych zasad ich związku była reguła, że Malcolm nie powinien nigdy na nic nalegać – zwłaszcza ostatnimi czasy – zaczął więc ostrożnie.

– Miło byłoby zobaczyć, jak wygląda w środku.

[...]

wiatr
od morza

www.facebook.com/wiatrodmorza

Wiatr od morza to…

zapach kanadyjskich lasów
gwar angielskich portów
piaski Afryki
ostra woń chłodnego, arktycznego powietrza
okrzyki rybaków zarzucających sieci
smak soli w ustach

wiatr
od morza

…gdańskie wydawnictwo założone przez Michała Alenowicza, miłośnika książek i tłumacza literatury anglojęzycznej.

Wyszukujemy dla Państwa wyjątkowe i wręcz magiczne książki – prawdziwe rarytasy światowej literatury. Nieraz są to zapomniane i nigdy nie tłumaczone na język polski dzieła, nagradzane przed laty prestiżowymi nagrodami, innym razem niezwykłe powieści wciąż nieodkrytych w Polsce pisarzy młodego pokolenia. Lubimy wyobrażać sobie, że sprowadzając je do Polski stajemy się niczym dawni gdańscy kupcy, zaopatrujący niegdyś kraj w egzotyczne przyprawy i drogie tkaniny. Niech i dziś z prastarego nadbałtyckiego portu płynie to, co dodaje życiu smaku – wyjątkowa, poruszająca wyobraźnię literatura na najwyższym poziomie.

fot. Magdalena Alenowicz

www.wiatrodmorza.com